

Nr
614 marca 2016
GnieznoRedaktor naczelny:
Mieszko CiesielskiRedaktorzy:
Marek Błaszczuk
Tomasz Błaszczuk

I N S T Y T U T U K U L T U R Y E U R O P E J S K I E J U A M

W NUMERZE: Natalia Szymenderska „Kiedy nie wiadomo, o co chodzi... może tak zostać”, s. 1; Katarzyna Duszyńska „Chcemy być sobą”, s. 5; Alicja Węclawiak „Ponura historyjka o trzech życzeniach”, s. 7; Joanna Dobrzycka, „Cyberprzemoc – cyberproblem”, s. 10.

Natalia Szymenderska (IK UAM)

Kiedy nie wiadomo, o co chodzi... może tak zostać

Próbując zinterpretować film Jaco Van Dormaela zabrnęłam w takie zakątki fizyki i filozofii, albo ich połączenia, których zrozumienie zajmie mi pewnie resztę życia. Tak czy inaczej „Mr Nobody”, wbrew niektórym opiniom krytyków, wydaje mi się na tyle pasjonujący, że nie mogłam się oprzeć jego głębszej interpretacji. Choć nie wiem, czy poniższe rozważania trafnie oddają sens obrazu Van Dormaela, to z pewnością jednakże są wyrazem mojego odbioru tego filmu.

Głównym bohaterem jest tytułowy pan Nobody o równie ciekawym imieniu – Nemo. Jego imię i nazwisko zdradza poniekąd zasadniczą ideę filmu (przynajmniej jedną z zasadniczych), a mianowicie taką, że tak naprawdę nie wiadomo, nie mamy pewności, czy główny bohater naprawdę istnieje. Niepewność istnienia udziela się również oglądającemu film. Może nie powinnam zdradzać tego na samym początku, gdyż właściwie to raczej konkluzja całej historii, ale może pozwoli mi to spojrzeć na nią z innej perspektywy. Otóż gdyby przetłumaczyć imię i nazwisko bohatera, który również jest narratorem całej opowieści, na język polski, mówilibyśmy o nim jako o panu Nikt Nikt. Cała historia zaczyna się w zasadzie od momentu zanim jeszcze Pan Nikt pojawił się na świecie. A może nigdy się na nim nie pojawił? Sam opowiadający nie jest tego pewien. Czy możemy bowiem być pewni czegokolwiek? A czy przynajmniej powinniśmy poszukiwać i za wszelką cenę ratować poczucie pewności? Taka postawa prowadzi do skrajnego sceptycyzmu, a chyba nie o to do końca chodzi. Tylko o co?

Nemo opowiada historię swojego życia po części oczami chłopca, a częściowo z perspektywy stuparoletniego starca. Nie wiadomo, kim tak naprawdę jest. Wszystko, cała opowieść jest (przynajmniej w miarę) spójna do momentu, w którym Nemo jako chłopiec stanął przed trudną do podjęcia decyzją – czy po rozwodzie rodziców chce zostać z ojcem, czy wyjechać z matką. Do sceny na peronie powracamy wielokrotnie, z różnych perspektyw, z różnymi skutkami. Tory, które rozchodzą się w niezliczoną liczbę ścieżek są symbolem tej samej niezliczoności możliwości, jakie stoją przed człowiekiem, w momencie podejmowania decyzji. Od niego zależy, co będzie działo się dalej. A wybór często jest koniecznością, mimo że niejednokrotnie wolelibyśmy go uniknąć. Na końcu filmu, Nemo – starzec (głosem chłopca, co dalej miesza całą historię) mówi o *zugzwang*, czyli o sytuacji w szachach, w której najlepszym możliwym ruchem jest brak jakiegokolwiek ruchu. I tak właśnie można podsumować sytuację, w jakiej znajduję się dziecko, kiedy stawia się je przed wyborem jednego z dwojga rodziców. Decyzja, jaką musi podjąć wówczas młody człowiek wpływa na jego całe życie, na jego tożsamość. Może powodować szereg zaburzeń psychicznych, jakie się z tym wiążą. Nie pociągnę dalej tego wątku (pomimo szczyrych chęci), bo zwyczajnie nie mam do tego kompetencji, mogę tylko, jak większość ludzi, stwierdzić, że tego typu wybór, przed jakim stawia się dziecko, które wciąż kształtuje swoją tożsamość (intensywniej niż dorosły człowiek), będzie prawdopodobnie miało poważne problemy tożsamosciowe. Tak moim zdaniem mogło być w przypadku Nemo. Trudność podjęcia decyzji, a jednocześnie przymus, by to zrobić, były druzgoczące dla jego osobowości. Dlatego historia, którą Mr Nobody opowiada jest tak chaotyczna, nie sposób się w niej połapać i ją zrozumieć. Pytanie, które pada na początku: „czym sobie na to zasłużyłem?” ma według mnie bardzo duże znaczenie w kontekście całej opowieści. Bo czym zasługuje sobie dziecko, by musieć wybierać między matką a ojcem? Nie znając swojego dalszego losu, nie jest w stanie podjąć właściwej decyzji. Więc stoi na rozdrożu – jak się okazuje – przez całe życie.

Cały film, jak wspominałam na początku, poprzeplatany jest fizycznymi i filozoficznymi teoriami, m.in. poruszane są niezwykle fascynujące zagadnienia czasu, przestrzeni i jej wymiarów. Jednym z częściej poruszanych zagadnień jest teoria chaosu. I mam wrażenie, jakby cały obraz filmowy był jej ekranizacją. Jest bardzo niespójny, ale jednocześnie nabiera sensu w szerszym kontekście. Swoją drogą myślę, że to bardzo ciekawe wyzwanie dla twórcy filmowego – zekranizowanie teorii chaosu.

Ważną rolę w całej historii odgrywa teoria efektu motyla: pokazane jest, jak bardzo człowiek jest uwarunkowany przez nic nieznaczące z pozoru okoliczności jego życia. Coś, co wydawałoby się, że nie ma znaczenia, może bardzo mocno wpłynąć na życie każdego z nas; tak było w przypadku głównego bohatera, gdy nieistotny wybór džinsów, w efekcie doprowadził do utraty możliwości kontaktu z ukochaną. Każdy wybór ma znaczenie. Każdy wybór wraca, wracają jego konsekwencje, a – jak tłumaczy Nemo – dopóki nie podejmiesz decyzji, nadal masz wybór. Tylko co, jeśli MUSISZ ją podjąć? Taka myśl często paraliżuje. Nie dosłowne rzecz jasna, ale sprawia, że nawet najprostszy wybór staje się najtrudniejszym. A co, jeśli to się obróci przeciwko mnie? Każde działanie, każda decyzja jest obciążona potencjalnym błędem. Problem polega na tym, że jej brak także.

Istotną kwestią w omawianym filmie jest czas. Zjawisko, którego nie jestem w stanie tak naprawdę pojąć. Jak to jest, że gdy coś się wydarzy, nie można już tego odwrócić? Ostateczność biegu zdarzeń potęguje jeszcze problematyczność dokonywanych wyborów i wywołuje swoisty strach towarzyszący życiu: każdej decyzji, poruszeniu ciała, oddechowi. To JEDYNY taki w moim życiu, NIGDY już takiego nie będzie. To OSTATNIA taka rzecz w całym istnieniu świata. Wszechświata. Nic dziwnego, że Pan Nikt miał takie problemy z tożsamością. O ile w ogóle można mówić w jego przypadku o jakiegokolwiek tożsamości.

Nasz bohater zadaje sobie pytania o czas. Dlaczego płynie on akurat w tę stronę? Dlaczego się nie cofa? Istnieje teoria, według której Kosmos rozszerza się i kurczy – pulsuje. Mówi ona o tym, że czas w momencie rozszerzania się Wszechświata biegnie do przodu, aż do osiągnięcia pewnego punktu krytycznego, w którym nagle zacznie się kurczyć, a czas odpowiednio zacznie się cofać. Niektórzy dodają do tego elementy religijno-duchowe, w których mowa o tym, że kiedy czas będzie się cofał stopniowo, będziemy wracali do tego, co pierwotne, a wszystko z racji odwróconego biegu, ze złego przemieni się w dobre, aż do osiągnięcia początku, czyli raju. Taki wątek jest widoczny w filmie, kiedy np. kłótnie rodziców Nemo, odwrócone w czasie, przeradzają się w uśmiechy i pocałunki.

Wszystko, co przedstawione w filmie, komplikuje się jeszcze bardziej poprzez oniryczny wymiar całej opowieści. Już na początku z ust starczego wcielenia Nemo padają słowa: „muszę się obudzić!”, a wówczas bohater przenosi się do innej rzeczywistości. Równie odrealnionej. Potem do jeszcze innej. I do kolejnej. Wszystkie mają elementy, dzięki którym trudno nam uznać je za prawdopodobne. W jednej z nich (w tej, moim zdaniem, najbardziej psychodelicznej, gdzie większość elementów spowijają romby w odcieniach niebieskiego, a wszystko jest do siebie podobne jak w gigantycznym supermarkecie) Nobody, biegnąc przez ulicę, ma dwa cienie. Może to być zapowiedzią dalszego biegu historii, wyboru, jakiego musiał dokonać. A fakt, że jest w tej scenie dorosły świadczy o tym, że przymus podjęcia takiej decyzji nie daje mu spokoju przez całe życie. Miał w zasadzie dwa życia. Każde raczej mało udane, z mniej lub bardziej obiektywnego punktu

widzenia. Raczej mniej, gdyż trudno mówić o obiektywności, gdy jest się skazanym na jedną, indywidualną perspektywę. Zwłaszcza gdy podejmuje się próbę interpretacji. Tak czy inaczej wracamy do tego, o czym już było – o wyborze na całe życie i o tym, jak problematyczny jest on do dokonania.

Wracając jeszcze do oniryzmu, oglądając „Mr Nobody” po raz kolejny, odniosłam wrażenie, jakby cała opowieść była zbudowana na zasadzie wielopoziomowego snu. Polega to na tym, iż śniąc przechodzimy do kolejnych rzeczywistości sennych, z których każda wydaje się tak samo realna. Podobnie ma to miejsce w obrazie Van Dormaela. Przechodzimy od jednego życia Nemo, do drugiego, do kolejnego, cofamy się do poprzedniego, i znów do innego. A wszystkie są tak samo prawdopodobne. Jeśli w ogóle są.

Bohater, odpowiadając dziennikarzowi na pytanie, która ścieżka jest prawidłowa, mówi, że prawidłowe są wszystkie, ponieważ żadna nie ma większego znaczenia. To kolejne zdanie, które może dać do zrozumienia, a przynajmniej dało mnie, jak bardzo człowiek jako jednostka jest bez znaczenia dla Wszechświata. Co z tego, jak potoczą się losy któregoś z nas, skoro i tak nie będzie miało to wpływu na kształtowanie się Kosmosu. Co z tego, że każde z nas przeżywa osobistą tragedię stając przed wyborami, których nie jest w stanie dokonać, skoro nie ma to najmniejszego znaczenia w szerszym kontekście. No chyba, że prawdziwa jest teoria efektu motyla. Historia podmiotu i to, co go doprowadziło do podjęcia takich czy innych decyzji, z uwagi na jej znikomy wymiar zdaje się nie mieć znaczenia. Być może ma je historia ludzkości, cywilizacji, kultury – jako ogółu.

Pochylając się nad tym, ile Nemo przeżył historii, które działy się w tym samym czasie, zastanawiam się, czy nie są to po prostu możliwe opcje, jakie czekają go po dokonaniu wyboru pomiędzy matką i ojcem. To kilka możliwych scenariuszy, które zrealizują się po podjęciu określonej decyzji. Może tak naprawdę żaden z nich nie jest jego historią? Chociaż, sugerując się tym, co staruszek mówi pod koniec filmu, wszystkie te życia wydarzyły się naprawdę. Miał dzieci, a jednocześnie ich nie miał, był bogaty i żonaty, jednocześnie będąc biednym kawalerem, mieszkał tak z ojcem, jak i z matką, jednocześnie umierał i żył dalej. Czy to możliwe? Właściwie, dlaczego nie? Biorąc pod uwagę, że równie możliwe jest to, iż w ogóle nie istniał. Że my nie istniejemy. Dlaczego nie mielibyśmy istnieć w kilku miejscach naraz? W kilku życiach naraz?

Cóż, nie jestem pewna, czy jest to trafna interpretacja filmu Van Dormaela. Szczerze mówiąc, nie jestem w stanie powiedzieć, jaka powinna być właściwa interpretacja. Mam przy tym wrażenie, że mój tekst jest nazbyt chaotyczny, że nie wyjaśnia zbyt wiele, chociaż właściwie nie jestem pewna, czy powinien wyjaśniać cokolwiek. Wiem natomiast, że niezależnie od tego, ile bym o tym filmie nie napisała, to i tak nie będę w stanie do końca oddać tego, co o nim myślę, ani tym bardziej, jakie mam wobec niego odczucia. Myślę, że jedyne, co mogę powiedzieć na ten temat i

czego jestem w stu procentach pewna to to, że wszystko jest znacznie bardziej chaotyczne niż się wydaje, i że wbrew może temu wszystkiemu nie do końca można mówić o przypadku. Chaotyczność nie musi bowiem oznaczać przypadkowości. Na każde jednostkowe zdarzenie składa się tyle innych, że aż trudno o przypadku mówić. Wszystko zdaje się funkcjonować jak w gigantycznym zegarku, który jedynie na pozór wydaje się być wcielonym chaosem. Dla niewprawionego oka mechanizm w zegarze też wydaje się nie mieć sensu, a poszczególne części zdają się nieistotne. Jednak wystarczy spojrzeć z innej perspektywy i wszystko nabiera osobnego znaczenia, tak by nadać sens całości.

„Życie jest placem zabaw, albo niczym”, stwierdza w jednej ze scen stary Nemo. Czyli tak naprawdę nie wiadomo, czym jest. Ani o co w nim chodzi. I nikt nam tego nie powie. Sami musimy sobie wymyślić, czego chcemy się trzymać. Na temat tej wypowiedzi Nemo można by napisać traktat, albo i pięć, ale postaram się zakończyć już w tym miejscu. Czyli właściwie, nie wiadomo gdzie.

* * *

Katarzyna Duszyńska (WFPIK UAM)

Chcemy być sobą

„Kto Ty jesteś? Polak mały...”. W tym znanym wierszyku wszystkie pytania i odpowiedzi są takie proste i oczywiste, uczą utożsamiania się ze swoją ojczyzną. Jednak dziś pytanie to chyba jest znacznie trudniejsze. Dlaczego? Nie mam tu na myśli patriotyzmu, ale to, za kogo się uważamy, kim się czujemy, jak siebie postrzegamy i jak chcemy być postrzegani przez innych. Chodzi tu o problem tożsamości. Zmierzam mianowicie w kierunku jakże głośnego aktualnie tematu *gender*, czy jak się uartało mówić „ideologii gender”. Niektórzy uważają, że jest to broń w rękach feministek, a one same już są wyśmiewane, uznawane za fanatyczki nienawidzące mężczyzn, a teraz w dodatku maszerujące na barykady z *gender* niczym karabinem, którym zabijają każdego niewiernego. W praktyce mało kto wie, co oznacza ten termin i co się za nim kryje. Internet jest pełen żartów na ten temat, Kościół już przygotowuje stopy i zapałki, bo kobiety znów zachowują się jak wariatki. A najłatwiej krytykować coś, o czym nie ma się pojęcia. Zastanówmy się więc, co oznacza *gender*.

Otóż *gender* w najprostszym ujęciu to płeć kulturowa, a więc to, jak kształtuje nas społeczeństwo narzucając określone postawy, role jakie w nim pełni. Płeć biologiczną narzuca

nam natura, a kulturową – właśnie kultura. Jednakże nie każdy dobrze czuje się we własnej skórze. A czy to źle, że chcemy żyć w zgodzie z samym sobą? Jednak lubimy wytykać innym różne „dziwactwa”. Zawsze najbardziej interesują nas inni, krytykujemy wszystko wokół nas, tylko nie siebie. Jeśli czegoś nie rozumiemy, to tego nie tolerujemy. Jestem kobietą i dobrze mi z tym, więc nie rozumiem dlaczego inna kobieta chce być mężczyzną. Uznajemy to za fanaberię, w skrajnych przypadkach nawet za przejaw fanatycznego feminizmu. Ale jakie mamy prawo, by oceniać czyjeś postępowanie, które dotyczy wyłącznie tej jednej osoby? Uznajemy zmianę płci za sprzeczną z naturą i zamykamy temat. Tylko przy okazji zapominamy o wielu innych „sprzecznościach”, na które jednak się godzimy i to bez najmniejszego problemu. Ktoś urodził się z jakąś wadą, natura coś komuś więcej dała lub zabrała, staramy się to naprawić. Trudno jednak postrzegać płęć jako defekt. A jeśli ktoś dostał od natury coś, co komu innemu nie przeszkadza, jedynie samemu zainteresowanemu, np. krzywy nos. W końcu to nic takiego, krzywdy nie robi ani tej osobie, ani żadnej innej, ale jednak powstaje dyskomfort i poczucie pokrzywdzenia, które być może rozumie tylko ta osoba, która patrzy na siebie w lustrze. Jednakże jak znowu można porównywać zmianę płci i zmianę kształtu nosa? A jeśli potraktujemy płęć jako coś równie prozaicznego, jak ta niewielka część ciała? Przecież płęć biologiczna to tak naprawdę skrawek nas samych. A sama budowa sylwetki nie zawsze odpowiada tej płci. Niektóre kobiety bywają z natury potężne, a mężczyźni nieraz są wątłej postury. Jeśli więc wziąć pod uwagę tylko te części ciała, które odpowiadają za naszą płęć, to okaże się, że nie jest to problem znacznie poważniejszy niż nos, czy ucho. A płęć kulturowa? Cała nasza powierzchowność, czyli wygląd, sposób ubierania się, sposób bycia, wywiązywanie się z codziennych obowiązków. Czy to nie brzmi aż nadto indywidualnie? Przecież właśnie te czynniki określają nas jako jednostki, tworzą indywidualny wizerunek, a jednak najczęściej kontrowersji wzbudzamy jakimikolwiek odstępstwami od normy w wyżej wymienionych kwestiach. Zawsze ocenianie innych przychodzi z taką łatwością. Jeśli kobieta tworzy rodzinę z drugą kobietą, a mężczyzna z drugim mężczyzną, to okrzyknięte to jest jako największa zbrodnia na społeczeństwie. Sprzeczność z tradycyjnym modelem rodziny. A w zasadzie czy to nadal rodzina? W końcu dzieci z tego nie będzie. Samotna matka z dzieckiem też nie tworzy rodziny, bo musi być jeszcze partner, a jednak nikt chyba nie ustawiłby obok siebie lesbijek z przygarniętym dzieckiem i samotnej matki (która również mogłaby mieć adoptowane dziecko). Wychowywanie potomstwa przez matkę i babcię to też zupełnie co innego niż przez dwie kochające się kobiety, ale nie spokrewnione. Odpowiednie męskie wzorce może uosabiać jakikolwiek mężczyzna z rodziny, brat, wujek. Dwóm mężczyznom nikt (w Polsce) nie powierzy opieki nad maluchem. W końcu to „pedały”. Szkoda tylko, że odmawiamy w ten sposób mężczyznom uczuć, także ojcowskich. Bo przecież kobiety lepiej wiedzą, co w nich siedzi, bo jak można dziecko wychować bez matki. Samotnemu mężczyźnie tym bardziej nie pozwolimy zostać samemu z dzieckiem. A argument o patologii? Tak, jakby w

tradycyjnej rodzinie nigdy czegoś takiego nie było. Tak naprawdę każdy argument można podważyć. A wola Boża? Z Boskiej woli jesteśmy na tym świecie, reszta należy do nas. Ale Kościół zazwyczaj ma najwięcej do powiedzenia w każdej sprawie. Nie ma w tym nic złego, dopóki kler wie, o czym mówi i faktycznie ma coś w tej sprawie do powiedzenia. Duchowieństwo ma za zadanie stać na straży moralności, życia w zgodzie z Bogiem. Gender traktuje jako absolutne odwrócenie się od Jezusa i zmierzanie autostradą do Piekła. Księża zapominają, że sposobów bycia, a tym samym – chyba – dróg do Nieba, jest wiele, a gender to tylko jeden z ostatnio postawionych drogowskazów. Każde społeczeństwo ustala własne kryteria i role dla obu płci. Jest to potrzebne, aby wprowadzić ład i porządek, aby znać swoje miejsce wśród ludzi. Ale jeśli czujemy, że nasza rola jest jednak inna, to czemu jej nie zmienić? Nie oznacza to przecież, że wszyscy muszą pójść naszym śladem. Jedna kobieta zmieniająca płeć nie sprawi, że zabraknie płci pięknej. Mężczyzna czujący się kobietą nie sprawi, że tytuł piosenki „Gdzie Ci mężczyźni” nabierze innego, zdecydowanie dosłownego znaczenia. Dwie lesbijki czy dwóch gejów nie zrujnują całego życia rodzinnego. Gender nie ma na celu burzenia porządku wśród ludzi, mieszania płci i zamiany ról. Jest za to próbą pokazania, że nie musimy postępować tak, jak nam wszyscy każą, czy tak, jak inni od nas oczekują. Mamy wolną wolę. Nikt nie może decydować o nas samych. Tu jednak wkraczamy na grząskie tereny indywidualności, poszukiwaniu własnego JA, z którym trzeba bardzo uważać, by nie spłonąć na stosie.

* * *

Alicja Węclawiak (IK UAM)

Ponura historyjka o trzech życzeniach

To będzie interpretacja. Albo może nie. Na ten moment nie mam pojęcia, czym jest interpretacja. Ani jak się interpretuje. Ani jaki to ma sens i czy w ogóle ma sens. W każdym razie powinna być to interpretacja, więc założmy, że ponura historyjka o trzech życzeniach interpretacją będzie.

Założmy, że wierzymy we wróżki. Wróżki są różne, złe i dobre, a te dobre spełniają życzenia, przeważnie trzy. Znam jednak opowieść o wróżce ani dobrej ani złej. W sumie nijakiej, zwykłej. A jednak innej niż wszystkie. Choć z drugiej strony, może właśnie takie są dzisiejsze wróżki: niestandardowe.

Tak jak owa opowieść zakłada – każdy doskonale, a nawet do znudzenia, zna historię o wróżce spełniającej trzy życzenia. Bohater tej opowieści... Nazwijmy go jakoś! Antol Drorop. Zatem Antol Drorop uważa tę opowieść za wierutną bzdurę, *idiotyzm i bezwstydne kłamstwo*, zapewne na skutek urzeczywistnienia się jej w jego życiu. Choć historia ta do końca ponura nie jest. Jest nawet całkiem zabawna na swój czarny, makabryczny sposób.

Nasz bohater miał dość absurdatne dzieciństwo. Albo też absurdalnie o nim opowiada. Na skutek maltretowania przez ojca i odniesionych obrażeń, mógł stracić kontakt z rzeczywistością i widok matki zawsze z nożem między łopatkami mógł być tylko jego urojeniem. A odwiedziny wróżki – autosugestia. Załóżmy jednak, że Antol Drorop jest zdrowy na umyśle. I cóż się od niego dowiadujemy – nie ma łatwego życia, ba, zdarza mu się nawet chodzić z gwoździem wbitym w czoło. I podczas jednej z pijackich awantur w wykonaniu jego ojca bez przekonania myśli, że pocieszające byłoby pojawienie się wróżki i możliwość spełnienia trzech życzeń. Oczywiście w chwilę później ktoś puka do drzwi...

Stara kobieta o koszmarnie nędznym wyglądzie prosi go o tysiąc franków. Ostatecznie inkasuje siedem tysięcy i w zamian spełnia życzenia naszego bohatera. „Spełnia”. Wróżka z niej średnia, prędzej czarownica albo wiedźma. Nie jest bogata ani piękna, nie wygląda młodo (odwrotnie niż bajkowe wróżki, do których jesteśmy przyzwyczajeni – wiekowe, a jednak młode). Na dodatek ma dużą słabość do alkoholu. Nie czaruje, nie wypowiada zaklęć, nie ma różdżki ani innych „atrybutów władzy”. Choć z drugiej strony, może właśnie takie są dzisiejsze wróżki.

Co ciekawe, cały proces spełniania życzeń ma charakter transakcji, nasza wróżka jest materialistką, nadzwyczaj chciwą. Jest powierzchowna, i w taki też sposób spełnia życzenia. W całej historii nie ma ani grama magii, wróżka używa dostępnych środków, a wszystko wygląda na kiepską, nieudaczną improwizację, robienie czegoś byle jak, byleby mieć już to za sobą. Antol Drorop stwierdza jednak, że nie ma nic do stracenia i zgadza się na grę prowadzoną przez wróżkę. Życzenia ma raczej standardowe, wróżka oznajmia mu, że jest mało oryginalny i nie spełnia ich, bo albo nie jest w stanie, albo jej nie wychodzi, albo po prostu uznaje, że życzenie nie ma sensu. W sumie Antol Drorop wypowiedział pięć życzeń, a nie standardowe trzy, a wszystko wyglądało jak program iluzjonisty, któremu nie wychodzą sztuczki, więc mimo że czas się kończy, on robi ich więcej i więcej w nadziei, że to zrekompensuje wcześniejsze porażki i rozczarowanie widzów, którzy oczekiwali po nim czegoś więcej. W rezultacie stawia na ilość, nie na jakość, a wszystko pozostawia po sobie jakieś przytłaczające wrażenie.

Wróżka „stara się” zrobić to, co do niej należy, a czyni to nadspodziewanie dosłownie. Ostatecznie spełnia tylko jedno, najbardziej oryginalne życzenie – pozbawia bohatera widoku rodziców. Sprawia to w sposób drastyczny i, wydawałoby się, absurdalny, ale przecież w gruncie rzeczy logiczny i najprostszy. Okazało się, że Antol Drorop miał jednak coś do stracenia i znając

uprzednie poczynania wróżki, do przewidzenia było, że by spełnić życzenie może zrobić coś chorego (a jednak przecież wcale nie), i na przykład, właśnie jak to uczyniła, wykluć mu oczy. Życzenie spełnione, liczy się efekt, a cel uświęca środki.

Cóż można powiedzieć o całej tej historii? Że kto nie żywi przekonania o istnieniu wróżek, ten nigdy prawdziwej wróżki nie spotka i nie spełni mu ona życzeń. Ale lepiej to zostawmy i pójdźmy w inną stronę.

Tyle nam się mówi od najmłodszych lat o magii, tyle słuchamy baśni, bajek i bajeczek, i mimo że wierzyć w to chcemy – okazują się one kłamstwem. Może i niewinnym i nieszkodliwym, ale jednak – nic z tego nie jest prawdą. Nie wierzy się już w magię ani nawet w potocznie rozumianą metafizykę. Nie czuje się metafizyki. Jesteśmy racjonalni i wszystko można racjonalnie wytłumaczyć (choć naprawdę nie rozumiem, dlaczego znowu tak zupełnie wszystko musi być koniecznie racjonalnie wytłumaczone, po co?). Nie ma dobrych bajkowych wróżek, a życzenia można spełnić tylko za pieniądze, nie zawsze tak, jak by się chciało i trzeba bardzo uważać na to, czego się sobie życzy, żeby przypadkiem nie stać się później cynicznym i sceptycznym, zupełnie i absolutnie stracić resztki naiwnej wiary w magię, być tym złym, co ją tłumi w zarodku, dementując zbyt wcześnie plotki o istnieniu świętego Mikołaja.

Opowieść o wróżce innej niż wszystkie jest dość absurdalna, ale i tak bardziej realna i zdolna skłonić do uwierzenia w nią, niż gdyby wróżka była bajkowa i – ni stąd, ni zowąd – wyczarowałaby zamek, księżniczkę, a złych rodziców zamieniła w żaby. Magii nie ma, w magię się nie wierzy, lub jeśli się wierzy – lepiej się z tym nie afiszować. Smutne to, ale i paradoksalne, bo i w prymat rozumu wierzyć przestajemy. I zostajemy z niczym.

Bardzo to wszystko absurdatne, i całe szczęście. Całkiem łatwo jest znieść rzeczywistość, gdy jest ona absurdalna. Można ją już wtedy tylko wyśmiać. Poczucie humoru, zwłaszcza to czarne, jak w historii o wróżce innej niż wszystkie, jest niezłą bronią w walce z (nie)magicznym (nie)racjonalnym światem. Lekcja śmiechu, teatr magiczny i bal dla obłąkanych!

* * *

Joanna Dobrzycka (IKE UAM)

Cyberprzemoc – cyberproblem

Internet, wynalazek XX wieku, współcześnie traktowany jest jako źródło wiedzy i nieograniczonych wręcz możliwości. Jak każdy wynalazek niesie ze sobą szanse, ale i zagrożenia związane ze sposobem jego wykorzystywania. Współczesnym zagrożeniem w wirtualnym świecie jest coraz częściej dostrzegane zjawisko cyberprzemocy. Podejmując się charakterystyki wskazanego zagadnienia uwagę przykuwa kilka elementarnych kwestii, których nie sposób nie poruszyć w niniejszym artykule.

Cyberprzemoc to najogólniej przemoc z użyciem nowoczesnych technologii komunikacyjnych, zwykle Internetu i telefonów komórkowych. Łukasz Wojtasik, zajmujący się problemem przemocy rówieśniczej w Sieci, posługuje się bardziej rozbudowaną definicją cyberprzemocy, charakteryzując to zjawisko jako „wykorzystanie technik informacyjnych do świadomego, wielokrotnego i wrogiego zachowania się osoby lub grupy osób, mającego na celu krzywdzenie innych”¹. Cyberprzemoc to pojęcie ujmujące szerszy kontekst zjawiska. Jego odmianę w węższym znaczeniu stanowi cyberbullying². Osobę dopuszczającą się przemocy wirtualnej można nazwać cyberagresorem, albo „mianem cybermobbera, zaś ofiarę nazywać cyberoutsiderem”³ lub po prostu cyberofiara.

„Podstawowe formy tego zjawiska to: nękanie, straszenie, szantażowanie przy użyciu Sieci, publikowanie lub rozsyłanie ośmieszających, kompromitujących informacji, zdjęć, filmów oraz podszywanie się w Sieci wbrew jego [podmiotu – J.D.] woli”⁴. Akty cyberprzemocy dokonywane są za pomocą różnorodnych kanałów komunikacyjnych, począwszy od obecnie rzadko już stosowanych komunikatorów internetowych, przez pocztę elektroniczną, portale społecznościowe, aż po blogi oraz gry komputerowe. „Najczęstszymi przejawami agresji online raportowanymi w badaniach światowych są: wyzywanie, rozpowszechnianie plotek i obraźliwych komentarzy na komunikatorach, czatach i przez e-mail oraz na portalach społecznościowych. Wśród polskich nastolatków dominuje przemoc werbalna (52%) i publikowanie albo rozsyłanie ośmieszających,

¹ S. Kozak, *Patologia cyfrowego dzieciństwa i młodości. Przyczyny, skutki, zapobieganie w rodzinach i w szkołach*, Warszawa 2014, s. 149.

² Cyberbullying oznacza elektroniczną agresję rówieśniczą wśród dzieci i młodzieży. Z kolei cyberprzemoc dotyczy agresji elektronicznej bez względu na wiek.

³ Z. Majchrzyk, *Cyberbullying – jawna i ukryta agresja*, [w:] *Zachowania przestępcze. Przyczyny i zapobieganie*, red. F. Kozaczuk, Rzeszów 2010, s. 71.

⁴ S. Bębas, *Patologie społeczne w sieci*, Toruń 2013, s. 55.

kompromitujących zdjęć lub filmów (57%)”⁵. „Można sądzić, że problem ten będzie narastał z powodu dynamicznego rozwoju technologii komunikacyjnych i coraz szerszego ich wykorzystywania przez młodzież”⁶.

Szersza dyskusja nad zjawiskiem cyberprzemocy pojawiła się w 2000 roku po nagraniu filmiku z udziałem ucznia z Japonii, prezentującego go w krępującej sytuacji w szkolnej szatni. Największy rozgłos przyniósł filmik chłopca z Kanady naśladującego walkę jednego z bohaterów „Star Wars Kid”. Zamieszczony w Internecie materiał stał się źródłem licznych szykan dokonywanych na chłopcu ze strony jego rówieśników. Konsekwencją zrealizowanego aktu agresji elektronicznej była zmiana miejsca zamieszkania, szkoły oraz problemy natury psychicznej chłopca. W Polsce zjawisko cyberprzemocy stało się przedmiotem dyskusji w 2006 roku po samobójstwie Ani, gimnazjalistki z Gdańska. Jej rówieśnicy przy pomocy telefonu komórkowego nagrali moment seksualnego upokorzenia dziewczynki, który trafił do Sieci i stał się źródłem podjęcia przez nią decyzji o samobójstwie⁷.

Prowadzący badania i analizy dotyczące cyberprzemocy Robin M. Kowalski, Susan P. Limber i Patricia W. Agatston rozróżniają jej dwa rodzaje: bezpośrednią i pośrednią. Bezpośrednia polega na osobistym wysyłaniu wiadomości lub kompromitujących materiałów do innych użytkowników nowoczesnych technologii. Z kolei pośrednia wykorzystuje pomoc innych do realizacji aktu agresji elektronicznej względem cyberofiary, np. włamanie się na konto ofiary i rozesłanie do osób posiadających z nią kontakt informacji o niestosownej treści, sprawiając tym samym wrażenie, że adresatem rozesłanych wiadomości jest rzeczywisty właściciel konta mailowego bądź profilu na portalu społecznościowym.

Nasuwa się pytanie – co staje się źródłem, motywacją elektronicznej przemocy? Najczęściej spotykaną przyczyną cyberprzemocy jest „przeżywanie radości ze zwyciężania, wynikające np. z potrzeby potwierdzenia swojej pozycji w grupie, bądź zbudowania swego wizerunku; wyrównanie doznanych krzywd; zemsta za doznane upokorzenia podejmowana dla odreagowania frustracji spowodowanych np. zakłóceniami funkcjonowania rodziny lub nieprawidłowościami środowiska szkolnego czy rówieśniczego oraz pozyskanie uwagi otoczenia, wołanie o pomoc kierowane do wszystkich, którzy o nich zapomnieli”⁸.

R. Kowalski, S.P. Limber, P.W. Agatston wyróżnili następujące rodzaje i metody cyberprzemocy⁹:

⁵ J. Barlińska, A. Szuster, *Cyberprzemoc. O zagrożeniach i szansach na ograniczenie zjawiska wśród adolescentów*, Warszawa 2015, s. 18.

⁶ S. Bębas, op. cit., s. 51.

⁷ Por. S. Kozak, op. cit., s. 148.

⁸ S. Bębas, op. cit., s. 66-67.

⁹ Por. R.M. Kowalski, S.P. Limber, P.W. Agatston, *Cyberprzemoc wśród dzieci i młodzieży*, Kraków 2010, s. 53-59.

- wojna na obelgi, zwana inaczej *flaming*, odbywająca się w *chatroomie* bądź grupie dyskusyjnej. To ostra wymiana zdań prowadzona w krótkim czasie przez dwie lub więcej osób;
- prześladowanie – to notoryczne przesyłanie upokarzających wiadomości nie mające publicznego charakteru. Wszystko odbywa się przy pomocy prywatnych kanałów komunikacji, np. wojna SMS-owa polegająca na wysyłaniu na telefon komórkowy wiadomości SMS do jednej ofiary (ich liczba może dojść nawet do tysiąca);
- oczernianie – rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji na stronach internetowych lub za pomocą wiadomości e-mailowych bądź rozsyłanie zmodyfikowanych cyfrowo zdjęć;
- podszywanie się – kradzież hasła przez cyberagresora, np. na prywatny profil portalu społecznościowego, połączony z wysyłaniem obraźliwych treści użytkownikom z kontaktów rzeczywistego właściciela konta, wywołując tym samym wrażenie, że to właśnie on (rzeczywisty właściciel) dokonuje tych działań;
- ujawnianie/pozyskiwanie tajemnic – upublicznianie zdobytych w niegodziwy sposób prywatnych treści dotyczących jakiejś osoby, która nie miała zamiaru dzielić się nimi; celem jest kompromitacja;
- wykluczenie/ostracyzm – cyberostracyzm – pozbawienie dostępu np. do grupowego konta w Sieci;
- cybernękanie – nieustanne przesyłanie wiadomości zawierających np. pogrożki
- *happy slapping* (radosne okładanie) – filmowanie aktu uderzenia przypadkowo napotkanej osoby, zazwyczaj dokonywane przez nastolatków i umieszczenie nagrania w Sieci.

Bywają sytuacje podejmowania prób usprawiedliwiania zachowań o charakterze agresji elektronicznej, eksplikowane jako niewinne i nic nieznaczące żarty, mające na celu wyłącznie dobrą zabawę, choćby rówieśniczą. Komunikacja zapośredniczona nie zapewnia użytkownikom odbioru niewerbalnych sygnałów, jak ma to miejsce w kontakcie bezpośrednim (tzw. *face to face*) i nawet, gdy celem obraźliwego komunikatu nadawcy jest zwyczajny dowcip, to jego odbiorca może odczytać go w zupełnie dosłowny sposób. Rezultat braku możliwości odbioru sygnałów niewerbalnych w komunikacji zapośredniczonej widoczny jest w analizach zjawiska cyberprzemocy, prowadzonych przez Michel Walrave i Wannes Heirman. Posługują się oni terminem tzw. efektu kabiny pilota (ang. *cockpit effect*). „W tym ujęciu osoby realizujące cyberprzemoc przyrównywane są do pilotów myśliwców, którzy bombardowali miasta. Badania psychologów wykazały, że żołnierze zadający cierpienia innym ludziom w bezpośredniej walce, znajdując się z przeciwnikiem

twarzą w twarz, doświadczali skrajnego nasilenia emocji negatywnych czy stresu posttraumatycznego. Problemy te jedynie w sposób ograniczony dotyczyły pilotów myśliwców, którzy chociaż obiektywnie dokonywali większych szkód, niszcząc całe miasta i zabijając setki ludzi, to ponosili znacznie mniejsze konsekwencje osobiste swoich działań. Osoba siedząca przed ekranem swojego komputera, podobnie jak pilot myśliwca, nie widzi cierpień ofiary, co z kolei może się przekładać na brak pojawienia się współczucia i empatii, które mogłyby zablokować czy zredukować działania agresywne”¹⁰.

Cyberprzemoc inaczej nazywana jest również mobbingiem elektronicznym, charakteryzującym się znacznie poważniejszymi konsekwencjami niż tradycyjny mobbing. W Sieci nie ma potrzeby wykazywania się siłą fizyczną, demonstracją własnej dominacji w postaci odpowiedniej budowy ciała świadczącej o sile osoby zamierzającej zadać cierpienie innym. W Internecie wystarczy sprawne posługiwanie się programami komputerowymi, niekoniecznie w stopniu zaawansowanym. Nawet proste czynności, które wykonuje każdy człowiek mający styczność z Internetem, pozwalają na dokonywanie aktów cyberprzemocy. W mobbingu rozumianym w tradycyjny sposób sprawca zazwyczaj dostępny był w określonym czasie i przestrzeni, przykładem może być szkoła. Potencjalnie dom dla ofiary był swego rodzaju schronieniem, azylem zapewniającym wolność przed ewentualnymi atakami ze strony rówieśniczej. W mobbingu elektronicznym narzędzia dokonywania aktów agresji elektronicznej, jak np. komputer, telefon komórkowy czy tablet, z uwagi na to, że stały się nieodłącznym elementem życia człowieka, towarzyszą mu prawie nieustannie. Ich ciągła obecność w życiu codziennym powoduje, że cyberagresor może mieć niemalże stały kontakt ze swoją ofiarą przemocy elektronicznej. Istnieją przypadki tzw. „always on”¹¹, osób bezustannie podłączonych do Sieci i surfujących po niej. To daje możliwość ewentualnym cyberagresorom do nieustannego kontaktu ze swoimi sieciowymi ofiarami i okazję do intensyfikacji swoich działań. Bardzo często ofiara mobbingu tradycyjnego może przeobrazić się w cyberagresora. Gdy w świecie rzeczywistym, w kontakcie bezpośrednim, nie jest w stanie poradzić sobie z prześladowaniami i aktami agresji kierowanymi pod jej adresem, wówczas rozpoczyna działania odwetowe w wirtualnym świecie, mające na celu zemstę za doznane krzywdy w świecie rzeczywistym. Zwykle cyberagresor dokonuje takich aktów internetowej przemocy, na które nie pozwoliłby sobie w świecie offline – to tzw. „zjawisko odhamowania”¹², w którym zanikają hamulce moralne.

Dodatkową motywację do wzrostu skali cyberprzemocy oraz jej intensyfikacji daje poczucie anonimowości i większej swobody w podejmowaniu niestosownych zachowań. Demokratyzacja, jako wyznacznik definiujący wynalazek XX wieku, jakim jest Internet, wprowadziła jego

¹⁰ J. Pyżalski, *Agresja elektroniczna i cyberbullying jako nowe ryzykowne zachowania młodzieży*, Kraków 2012, s. 138.

¹¹ S. Bębas, op. cit., s. 65.

¹² R.M. Kowalski, S.P. Limber, P.W. Agatston, op. cit., s. 73.

użytkowników w przekonanie, że wszystkim wolno wszystko, a już na pewno wiele. Pozorne poczucie niewidoczności w Internecie pozwala z większą łatwością naruszać obowiązujące społecznie zasady. Anonimowość to złudzenie dające przyzwolenie na bezkarne działania w Sieci. Jak zauważa Sylwester Bębas: „istotne jest podkreślenie, że internauci zwolnieni są z jakiegokolwiek odpowiedzialności za swoje wypowiedzi, choć odkrycie ich tożsamości nie stanowi problemu”¹³. Przypisany każdemu użytkownikowi adres IP pozwala na dotarcie do osób dopuszczających się aktów cyberprzemocy.

Cyberofiara w znacznie większym stopniu odczuwa skutki wiktyimizacji, gdy posiada świadomość nieograniczonej *de facto* liczby odbiorców mogących mieć dostęp do obrażających ją materiałów. Użytkownicy Sieci, którzy zawsze pozostają potencjalnymi odbiorcami tego typu treści, określani są w literaturze mianem „niewidzialnej publiczności”¹⁴. Możliwa aprobatą udzielana cyberagresorowi ze strony wspomnianej „niewidzialnej publiczności”, mierzalna postfaktycznie w postaci komentarzy lub licznych polubień, np. na portalach społecznościowych, daje przyzwolenie i zachętę do intensyfikacji jego nagannych zachowań. Dlatego świadkowie cyberprzemocy aktywizujący działania cyberagresorów, wyrażający jednocześnie bierność w stosunku do pomocy cyberofiaram mogą być traktowani jako współdziałający z wirtualnym oprawcom¹⁵.

Nie sposób wyczerpać całego spektrum zagadnień, jakie obejmuje cyberprzemoc. Istotne jest przeprowadzanie akcji zapobiegających i informujących społeczeństwo o zagrożeniach istniejących w Sieci. 10 lutego obchodzony jest Dzień Bezpiecznego Internetu poświęcony profilaktyce i koedukacyjnym tematom związanym z bezpiecznym poruszaniem się w przestrzeni wirtualnej. Bardzo ważna jest świadomość istniejących zagrożeń, by móc im w skuteczny sposób przeciwdziałać i uniknąć niebezpiecznych sytuacji w Sieci prowadzących do kumulacji negatywnych emocji i frustracji wśród cyberofiar, a w skrajnych przypadkach nawet śmierci. Dbając o dobro wspólne użytkowników przestrzeni wirtualnej, każdy powinien przestrzegać tzw. netykiety – podstawowych zasad prawidłowego zachowania się w Internecie, swego rodzaju wirtualnego *savoir-vivre*. Internet jest narzędziem komunikacyjnym i jako takie pozbawione jest aksjologii, pod którą podpadają zachowania użytkowników w Sieci. Wiedza i profilaktyka na temat cyberprzemocy może uchronić ich przed jej niepożądanymi skutkami.

* * *

¹³ S. Bębas, op. cit., s. 50.

¹⁴ J. Barlińska, A. Szuster, op. cit., s. 16.

¹⁵ Por. R.M. Kowalski, S.P. Limber, P.W. Agatston, op. cit., s. 72-73.